Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Cena egzempl. 50 gr

KUŹNICA
MIESIĘCZNIK
ZAGADNIENIA NARODOWE, SPOŁECZNE i LITERACKIE

ROK II. WRZESIEŃ 1936 NR. 9.

TREŚĆ:

Perspektywy.

Wizyta Naczelnego Wodza we Francji wykazała aż nadto dobitnie, że obecnie o naszym znaczeniu w polityce międzynarodowej decyduje przede wszystkim nasza armia. Zdaje sobie z tego sprawę generał Rydz-Śmigły, wie o tym naród, darzący armię głęboką miłością. — Jednak najsilniejsza chociażby armia bez mocnego zaplecza (narodu) nie potrafi na dłuższą metę zapewnić państwu znaczenia i siły. Będą nas ościenne państwa dopóty szanować, a nawet kokietować, dopóki same nie stworzą silniejszej armii. To chyba jasne. — Rzucając zatem hasło obrony Polski, generał Śmigły odpowiada, że w nim znajdzie się wszystko; znajdzie się droga wyjścia z naszych stosunków gospodarczych, znajdzie się droga, która nas doprowadzi do wyzwolenia sił moralnych i twórczych w narodzie, do skupienia ich, do wytworzenia nowych wartości, których nam tak bardzo potrzeba.

Przytoczyłem te słowa, gdyż doskonale wskazują na zagadnienie, które wprost natarczywie domaga się rozwiązania: zagadnienie przeobrażenia życia społecznego w Polsce, urządzenia państwa w myśl najistotniejszych materialnych i duchowych potrzeb i aspiracyj narodu. Tego postulatu nie można ani się już nie da odłożyć lub załatwić połowicznie.

Nowego układu stosunków chcą niektóre grupy obozu pomajowego, żądają go gwałtownie partie opozycyjne. Ponad sanacją i opozycją pragnie go nade wszystko naród, który ani pragnie odegrać się jak niektórzy politycy zawodowi, ani poluje na teki ministerialne, a jedynie chce jako organizm żyć w zdrowej dla swego rozwoju atmosferze.

Wielu sądzi, że „pogodzenie" się obozu pomajowego z partiami opozycyjnymi da pożądany efekt. Stworzy i ten nowy układ stosunków politycznych i wyrwie kraj z zastoju gospodarczego. Ale sprawa „pogodzenia" nie przedstawia się tak prosto. Sanacja chciałaby mu narzucić protektorat, a więc sprawować dalej rządy (tymczasem pogodzenie oznacza dopuszczenie do współudziału w rządach), ugrupowania opozycyjne domagają się (jedne szczerze, inne ze względów taktycznych) powrotu do parlamentarnego sposobu rządzenia sprzed 1926 roku.

Tymczasem i jedna i druga strona przechodzi do porządku dziennego nad rzeczywistością. Bo patrzmy: przecież obóz pomajowy to już kilka luźnych grup o nikłym znaczeniu w terenie i prawie żadnej dynamice ideowej. Program, nad którym pracuje pułkownik Koc, ma go ponownie uaktywnić i stworzyć pod auspicjami generała Rydza-Śmigłego nowy ruch polityczny. Już sam fakt gwałtownego forsowania Naczelnego Wodza armii na wodza narodu (więc i wodza politycznego) przez jeden obóz, dowodzi, że obóz ten nie posiada ostoi i siły w ideologii i narodzie. Zresztą to forsowanie ma charakter sztuczny i zapoznaje faktyczny układ sił politycznych w kraju. **Armia i jej Wódz są miłością i własnością całego narodu, nie można zatem ogłaszać wodza armii wodzem**

narodu z przynależnością do jednej grupy. Chyba że obóz pomajowy w nowej postaci wytworzy koło siebie taką dynamikę polityczną, że skupi pod swym sztandarem większość narodu. Ale to jest „chyba". W obecnym jednakże stanie rzeczy, kiedy z jednej strony armia musi stać w zbrojnym pogotowiu, z drugiej w obóz pomajowy godzą o wiele liczniejsze od niego i silniejsze ugrupowania polityczne, Naczelny Wódz armii z natury rzeczy nie może nosić szyldu politycznego jednej partii. Zresztą siłą faktu wywierać musi i będzie doniosły wpływ na bieg spraw w państwie. Wodzostwo polityczne byłoby zatem w tych warunkach fikcją, rzeczywistością będzie i jest już autorytet wodza armii we wszystkich ugrupowaniach politycznych.

Podobnie nierealnie przedstawia się sprawa powrotu na dłuższy czas parlamentarnego systemu rządzenia dawnego typu. W tym starcie nawrotów do wielkości, idei do zwycięstwa, jaki obecnie przeżywamy, parlamentarne formy rządów będą miały charakter przejściowy. Nie rozwiążą zagadnienia nowego układu stosunków na daleką przestrzeń czasu. Przecież nie wystarcza jeszcze nowa ordynacja wyborcza i wejście do parlamentu i rządu starych, odstawionych obecnie graczy politycznych. Wniosą ze sobą na trybunę dawne spory, partyjne programy, zawrotność nastawień, nie wniosą jednak tej zdrowej atmosfery politycznej, o jakiej deklamują. To byłoby dobre w spokojnej ustabilizowanej epoce — dziś, kiedy czasy wymagają wspólnego nastawienia, wspólnego programu i nowych ludzi, samo życie wyrzuci ten quasidemokratyzm poza burtę.

Ten okres przejściowy stać będzie pod znakiem z jednej strony wyniszczania się wzajemnego starych partyj w walce politycznej, z drugiej formowania się nowej narodowej ideologii i ruchu społecznego w łonie powojennego pokolenia, narastającego wciąż liczebnie i wyzwalającego się coraz widoczniej spod przestarzałych orientacyj. Wie ono już dobrze, że życie współczesne wymaga wielkiego oddechu i rozmachu, że jest zarówno okresem walki światopoglądów jak i mas ludzkich; że trzeba przechodzić do porządku dziennego nad wielu choćby bardzo miłymi, drogimi, ale już niepotrzebnymi rzeczami, skoro gra idzie o wielkie stawki.

W takich czasach niema miejsca na połowiczność, kompromisowość, niewyraźność, uzgadniania, wyczekiwania — jest natomiast miejsce i przyszłość jedynie na żywą, twórczą ideologię i obóz, wyznający ją bez zastrzeżeń. Zatem dyktatura? Tak, dyktatura ideologii i narodu. Ale ideologii, której nie narzuca ani administracja ani sąsiedzi. Dyktatura narodu? Brzmi to dziwnie i paradoksalnie! A jednak, czym będzie świadome i bez ingerencji obcej kształtowanie przez naród swych własnych losów, jak nie „dyktaturą?" Ale w takim ujęciu znika pojęcie dyktatury w typowym, niesympatycznym znaczeniu, a rysuje się obraz prawdziwej demokracji.

Wiem, że to dla wielu będzie niezrozumiałe, lecz sprawa zrozumiałości lub niezrozumiałości pewnej myśli czy wizji zależy od tego, jak ktoś przeżywa rzeczywistość i jakim jest typem psychicznym.

Byłbym w kłopocie, gdyby ktoś zapytał o tę ideologię. Tej ideologii w sensie systemu niema, są tylko wspólne nastawienia i materiał uczuciowy. Tworzy się coraz wyraźniej świadomość wspólnoty celów.

Uczuciowo jest to już opozycja w stosunku do „opozycji" i sanacji; świadomie jest to już negacja zarówno komunistycznego jak i kapitalistycznego porządku.

PAWEŁ MUSIOŁ.

Zagadnienie wojny.

Żyjemy w czasie wojennym. A wojna cechuje się nie tylko walką zbrojną, wzrostem bezpośredniego niebezpieczeństwa życia dla znacznej liczby materiału ludzkiego, ale także cechuje się określoną polityką gospodarczą i wewnętrzną państw. Wolność wymiany międzynarodowej, swoboda międzynarodowych kontaktów, a na wewnątrz mały udział państwa w przedsięwzięciach gospodarczych, to są cechy stanu pokojowego. Przeciwnie, system gospodarki zamkniętej, przymusowy kurs pieniądza, a co zatem idzie nie tylko wzrastający stale charakter państwa jako producenta, ale także wszechwładza i wszechobecność w innych dziedzinach życia — to są cechy stanu wojny.

W wieku 19-tym wojna powstawała z momentem starcia zbrojnego. Po tym starciu następowało drugie zjawisko wewnątrz państwa, polegające na przemianach wewnętrznych. Dziś jest inaczej: przemiany wewnętrzne, charakterystyczne dla stanu wojny już są, choć niema jeszcze starcia zbrojnego. Może to poprostu nie skończyła się jeszcze wielka wojna, rozpoczęta w roku 1914, a myśmy chwilowe zawieszenie działań wojennych wzięli niesłusznie za pokój. Nie o to chodzi, jakie są przyczyny tego stanu, ale ważnem jest, by uświadomić sobie, że tak jest, że wojna trwa.

Państwa zamykające się w swoich granicach w sposób ścisły nie tylko pod względem gospodarczym

nie wytrzymają wreszcie zasłony nagromadzającej się energii narodowej i wtedy trzasną bariery graniczne i staną przeciw sobie uzbrojone pod każdym względem społeczeństwa.

Słowianie nie wiele mają w sobie siły instynktów pierwotnych. Przystosowując się do konieczności, jaką nam narzuca wroga postawa innych, podejmujemy środki obrony, ale dopiero w ostatniej chwili i niestety zbyt często za późno. Przykładów można szukać zarówno w historii pierwszych starć z Germanami, jak i w dziejach dnia dzisiejszego. Ograniczenia dewizowe wprowadziliśmy dopiero wtedy, gdy zbyt dużo zaczęliśmy tracić na takiej samej polityce sąsiadów i wprowadziliśmy je bodaj że o parę lat za późno, by wyciągnąć z nich te korzyści, jakie dać mogły, a przynajmniej, by uchronić się od tego, co już zdołano nam urwać. Polityka finansowa jest walką krwawą, bo skutki jej opłacają swym bytem i swą nędzą szerokie rzesze. Tutaj wojna trwa dzisiaj w swym potężnym napięciu. To trzeba sobie uświadomić i wyciągnąć stąd wnioski w kształtowaniu gospodarstwa narodowego na następną chwilę dziejową, która będzie jeszcze cięższa. Innym narodom jest łatwiej. Nasz sąsiad zachodni przez długie lata kształcił swój umysł i swoje uczucia na słowach swoich duchowych przywódców, którzy utrwalali skutecznie przekonanie, że właśnie wojna jest elementem koniecznym dla zdrowego rozwoju narodu. Naród niemiecki ma już obecnie, niestety, pragnienie wojny we krwi. Stąd też mimo pokojowej polityki zewnętrznej w stosunku do nas, zupełnie inaczej te zjawiska wyglądają w społeczeństwie. Oprócz pogłębiającego się przygotowania gospodarczego, naród przygotowuje w sobie drugi konieczny moment: antagonizm do obcych.

Zjawiska te należy sobie uświadomić i wyciągnąć z nich konsekwencje w życiu codziennym. O przygotowaniu do wojny niech nie decyduje wyłącznie polityka rządu, ale niech naród sam zechce przyjąć wobec obcych postawę bojową.

Wydaje mi się, że w Niemczech stan rzeczy idzie drogą naturalnego układu stosunków: naród jest zbrojny moralnie, bojowy i ekspansywny, a rząd prowadzi go przezornie drogą pokoju. Nie wchodzę w to, jak długo zechce go tak prowadzić. U nas inaczej: dziś tylko sfery wojskowe pracują nad wytworzeniem siły wojennej państwa i naciskają w tym kierunku na rząd. Idzie o to, aby konsekwentnie i zdecydowanie pracował w tym względzie rząd w oparciu o cały naród.

Wspólne dobro wszystkich Polaków wymaga w tej chwili dwuch działań: pokonania bierności słowiańskiej oraz rozbudzenia antagonizmu do obcych, a z drugiej strony przygotowania gospodarczego. O sile militarnej pomyśli rząd.

Antagonizm do obcych nie jest uczuciem szlachetnym. Musimy je jednak w sobie rozbudzić, jeśli chcemy zachować swe miejsce pod słońcem jako wielkie państwo. Nie obawiajmy się, zbyt dużo jest w duszy słowiańskiej pierwiastków szlachetnych, by ten stan zdeprawował ducha narodowego. Lenistwo i bierność deprawuje zresztą, ale nie postawa aktywna. Powszechne dzisiaj obniżenie wrażliwości moralnej jest tego dowodem. Antagonizm do obcych, zwalczanie obcych w życiu codziennym, jeśli się upowszechni, stworzy obowiązek konkurencji moralnej i moralność narodową podniesie. Jest to szczególniej aktualne tutaj na kresach zachodnich. Obcych powinno przestać tolerować społeczeństwo. Nie władze — te powinny zawsze dawać obcym ich słuszne formalne prawa — ale obowiązkiem obywateli jest walczyć z wszelkimi przejawami obcych wpływów moralnych i politycznych. Obowiązkiem obywateli jest walka z obcym językiem, obcą ideologią a przede wszystkim z obcym kapitałem.

To ostatnie stwierdzenie prowadzi nas do drugiego postulatu koniecznego przygotowania wojennego: przygotowania gospodarczego. Przygotowanie gospodarcze społeczeństwa polega na uaktywnieniu i zainteresowaniu w tej dziedzinie szerokich mas. Motorem najlepszym jest właśnie antagonizm do obcych. Przykładem niech będzie spółdzielczość ukraińska.

Jeśli państwo staje się coraz potężniejszym producentem i kredytodawcą, to nie dlatego, by koniecznie chciało zagarnąć w swe ręce całe życie gospodarcze, ale dlatego, że musi to robić, bo wie, że istnieje wojna.

Trzy są możliwe sposoby rządzenia gospodarstwem współczesnym: przez międzynarodową finansjerę, przez państwo i wreszcie przez zorganizowane społeczeństwo.

Typ pierwszy odrzucamy świadomie, bo grozi on niebezpieczeństwem klęski wojennej nie tylko w obecnej wojnie gospodarczej, ale i w przyszłym starciu zbrojnym. Typ drugi, który u nas rozbudowuje się obecnie, obciąża nieprzygotowany do takich funkcyj aparat państwowy, niszczy wiele korzyści przez ciężkość swej machiny, ułatwia prywatę i nepotyzm, a wreszcie pogłębia bierność społeczeństwa, to znaczy naszą najgorszą wadę. Pozostaje typ trzeci gospo-

W następnym numerze „Kuźnicy“ ukażą się artykuły: J. Zakrzewskiego na temat reformy rolnej, A. Targa ciąg dalszy „Walki z żydostwem“, wiersze Kazimierza Forysia, artykuł Z. Hierowskiego „Plon dwóch konkursów“, oraz artykuł poświęcony zagadnieniu Wspólnoty Interesów.

darowanie przez zorganizowane społeczeństwo. Gdyby taki typ zdołał utworzyć zamknięte cykle produkcyjne, to znaczy, gdyby zmienił doniosłość znaczenia kapitału obrotowego, — byłoby rozwiązanym nie tylko zagadnienie obronności gospodarczej państwa, ale byłby także uczyniony olbrzymi krok naprzód na drodze sprawiedliwości społecznej.

Narazie masy zdradzają zdrowe odruchy w kierunku uaktywnienia gospodarczego. Robią to, co umieją: biorą się do drobnego handlu. Stworzyć gospodarkę przez społeczeństwo, to znaczy umieć skierować ten ruch na drogę przemyślanych cyklów gospodarczych o państwowym zasięgu. Bardzo doniosłą rolę na tej drodze może odegrać postawiona na wysokim poziomie moralnym i organizacyjnym spółdzielczość. Nie jest to droga łatwa. Rzeczą ludzi idei i dobrej woli jest tę drogę wskazywać i torować.

JAN ZYGMUNT.

Walka z żydostwem.

Żydzi w adwokaturze i medycynie.

Zagadnienie żydowskie w Polsce staje się z dnia na dzień zarówno w teorii jak w praktyce coraz bardziej aktualne. Jest to naturalne. Idzie przecież o tak zasadniczą stawkę dla narodu polskiego, jak fakt, czy ma on sam według własnych koncepcyj i potrzeb kształtować wszystkie dziedziny swego życia, czy też na jego życie i losy wywierać mają wpływ elementy na wskroś mu obce, elementy szkodliwe i niebezpieczne.

W poprzednim numerze „Kuźnicy“ wykazałem, w jaki sposób opanowane jest przez żydostwo polskie gospodarstwo we wszystkich jego dziedzinach i typach. Gdy mówi się o tej kwestii, pamiętać należy, że zorganizowany proces ustawicznych ataków na polskie gospodarstwo trwa nieustannie. Ostatnio przejawił się on podobno w zabiegach kapitału żydowskiego o nabycie Wspólnoty Interesów.

Ale poza gospodarstwem jest jeszcze inny dział życia społecznego, który w równie wielkim stopniu opanowany jest przez mniejszość żydowską, a który w ostatnich zwłaszcza czasach z tej strony szczególnie został zagrożony. Są to zawody wolne. Jakie niebezpieczeństwo grozi z tej strony narodowi polskiemu niech poświadczą cyfry.

Adwokat Jan Sokołowski ustalił w swej broszurze („Żydzi w adwokaturze“), że na terenie warszawskiej Izby Adwokackiej jest

Adwokatów żydów 50%
Aplikantów adw. żydów 80%.

Witold Borysewicz w szkicu p. t. „Zanik polskiej adwokatury w Małopolsce Wschodniej“ podaje, że we Lwowie przed kilku laty było

Adwokatów Polaków zaledwie 20%
a na pozostałym obszarze Małopolski tylko 50%.

Na 105 miejscowości, w których są sądy grodzkie, nie było wogóle adwokata Polaka. Na 750 aplikantów Izby Adwokackiej Lwowskiej było tylko 20 aplikantów Polaków, to znaczy nieco ponad 3%. W tych warunkach nic dziwnego, że odsetek adwokatów żydów w Małopolsce waha się od 70 do 90%, aplikantów zaś adwokackich jest jeszcze większy. Dla lepszej ilustracji zagadnienia podam jeszcze za Wł. Studnickim („Sprawa polsko-żydowska“) w jakim procencie w niektórych zwłaszcza województwach opanowali żydzi zawód lekarski:

Województwo	łódzkie	45%
„	lwowskie bez miasta Lwowa	47%
„	tarnopolskie	55%
„	stanisławowskie	57%
„	wołyńskie	38%

Procent ten stale wzrasta. Można sobie łatwo wyobrazić jak nikły musi być procent lekarzy Polaków na terenach wschodnich o ludności pod względem narodowościowym mieszanej.

Cóż mówią wyżej przytoczone cyfry, zwłaszcza gdy chodzi o adwokaturę? Bardzo wiele. Mówią one przede wszystkim, że tą drogą odbywa się niesłychana demoralizacja narodu polskiego. Zawody wolne, adwokatura zaś w szczególności, są tego rodzaju zajęciami, które stwarzają specjalne warunki do zdemoralizowania człowieka. Moralność mniejszości żydowskiej jest przysłowiowo niska. Nie może być wątpliwości co do poziomu etyki adwokatów żydów, gdy chodzi o wykonywanie przez nich zawodu. Ponieważ zaś we większości środowisk albo posiadają przewagę, albo bardzo znaczny procent, tym samym oddziałują fatalnie na polską i chrześcijańską część adwokatury. Na skutek zaś tego, że tak wielka ilość żydów napływa do adwokatury, powodują oni zgęszczenie w tym zawodzie w stosunku do istotnie potrzebnego kontyngentu, wywołując z natury rzeczy jego pauperyzację, a co za tem idzie zjawisko, że niejeden adwokat Polak, powodowany trudnymi warunkami materjalnymi podejmuje się spraw, które od strony moralnej są co najmniej wątpliwe. To jest jedna strona zagadnienia, strona demoralizacji polskiej palestry.

Ale jest jeszcze druga strona. Zdecydowana większość żydów skupia się w tych zawodach, które stwarzają

najwięcej okazji do przestępstw. W procesach, wynikających z takich przestępstw obrońcą zawsze jest żyd. W procesie takim obrońca — żyd zainteresowany jest nie tylko finansowo, ale również uczuciowo, aby uzyskać pomyślny wyrok dla klienta, z którym łączy go wspólne pochodzenie rasowe. Robi zatem wszystko w tym względzie. Tego rodzaju fakty nie tylko wpływają zachęcająco na ogół żydowski do wykraczania przeciw kodeksowi karnemu, ale co gorsza demoralizują ludność polską. Tak więc skutki nadmiernego opanowania adwokatury w Polsce przez żydów są rażąco oczywiste.

Poza statystyką i wnioskami, jakie ona musi nasunąć, w całej tej sprawie jest jeszcze jeden bardzo przykry i wstrętny zgrzyt. Oto po roku 1932 w nieprawdopodobny sposób zalewają aplikację adw. w Polsce żydzi. Jak już wskazałem w niektórych okręgach jest ich od 80—90%. Zdaniem znawców sprawy źródło zła leży w rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej o „ustroju adwokatury w Polsce", zawierającym przepis, znoszący obowiązek aplikacji sądowej dla adwokatów. Ten fatalny przepis otwarł na oścież bramę dla zalewu polskiej adwokatury przez żydostwo.

Jest rzeczą nie ulegającą żadnej wątpliwości, że przepis ten został wprowadzony do rozporządzenia dzięki zabiegom żydowskim. Żydzi bowiem przede wszystkim i wyłącznie byli zainteresowani w usunięciu bariery (obowiązek aplikacji sądowej), istniejącej w statucie tymczasowym Palestry Państwa Polskiego z roku 1918 i hamującej ich napływ do tego zawodu. Jak wielki niestety musi jednak być wpływ tej 3 i pół miljonowej mniejszości na stosunki w państwie polskim, skoro tak wyraźne ślady tego wpływu spotykamy nawet w polskim ustawodawstwie. O powyższym świadczy jeszcze jeden przepis w cytowanym już rozporządzeniu. Przepis ten upoważnia Ministra Sprawiedliwości do zamknięcia listy adwokatów ale tylko na obszarze 10 sądów okręg. równocześnie. Przepis zatem, który mógł być poważnym hamulcem, tamującym zalew adwokatury w Polsce przez żydów, został w takim stopniu spaczony. Jasnym jest, że został on wydany pod wpływem zabiegów żydowskich.

Jeden jest bowiem tylko czynnik w Polsce — jak pisze adwokat Sokołowski — zainteresowany w pozostawieniu swobodnego dopływu do adwokatury, jeżeli już nie na całym terenie państwa, to przynajmniej na możliwie dużym tego państwa obszarze. Czynnikiem tym są żydzi.

Uświadomienie sobie grożącego niebezpieczeństwa jest rzeczą podstawowej wagi. O wiele jednak ważniejszą jest kwestia zorganizowania oraz doboru środków zaradczych przeciw grożącemu niebezpieczeństwu. Ale na to będzie czas i miejsce przy innej sposobności.

Na zakończenie zaś tego szkicu jeszcze jedna uwaga. Omawiane wyżej przepisy prawne są wyraźnie szkodliwe dla interesów narodu polskiego. Na przestrzeni ostatnich lat spotykamy takich przepisów więcej. I co za niesamowite zjawisko, zjawisko niespotykane chyba w innym kraju, aby rząd z własnego narodu się wywodzący, wydając takie przepisy, działał na jego szkodę i oddalał się przez to od tego narodu coraz większą przepaścią. Taki właśnie proces obserwujemy w Polsce w ostatnich latach. Na myśl o tym, krew burzy się w żyłach.

ALOJZY TARG.

Szlachetczyzna a drobne dzierżawy na Śląsku.

W majowym numerze naszego pisma poruszył redaktor Paweł Musioł sprawy ujemnego ustosunkowania się pewnych sfer inteligenckich do życia i spraw szarego człowieka. Autor stwierdził, że na terenie śląskiej fabryki czy kopalni spotyka się inżynierów i urzędników, którzy traktują robotnika z góry, podobnie jak szlachcic odnosił się do poddanego chłopa.

Niestety taka szlachetczyzna panuje nie tylko w przedsiębiorstwach przemysłowych. W całej Polsce możemy się z nią spotkać na każdym kroku. W każdym urzędzie, w każdym banku i t. p. instytucjach siedzi na różnych stanowiskach choć kilku takich panów ze sfer ziemiańskich ze sygnetami na palcach. Wykonują oni wolę Państwa i kierują nawą spraw publicznych. Dzięki rozległym stosunkom i znajomościom pozajmowali oni w czasie dobrej powojennej koniunktury wysokie stanowiska, choć nie posiadają nieraz żadnego wykształcenia fachowego. Dzisiaj ich jedynym celem jest wytrwać na stanowisku aż do emerytury. O dobro państwa, dobro społeczeństwa lepiej nie pytać, bo pojęcia te są dla nich czczym frazesem.

Ta falanga ustosunkowanych mamutów niekoniecznie wywodzących się ze szlachty, ale za to myślących kategoriami karmazynowymi, jest największym nieszczęściem dla dzisiejszej Polski. Nie pomoże nic, żaden minister choćby był najlepszym fachowcem w swym resorcie, i miał najtęższą głowę na karku, jeżeli wykonawcą jego zarządzeń jest szlagon nie tylko z wyglądu, ale i przekonań. Na odwrót, nie może kierownik centrali orientować się, co się dzieje

w kraju, jeżeli wszystko dochodzi doń z terenu przez filtr grubych szyszek szlachetczyzny.

W tym nieszczęśliwym układzie stosunków należy szukać przyczyny, że dotychczas nie zdołaliśmy rozstrzygnąć w Polsce problemu reformy rolnej, ani też zagadnień tej miary, co upowszechnienie oświaty elementarnej lub podniesienia kultury rolnej w kraju. A wiemy dobrze, że państwa małe jak Łotwa, Litwa, Czechosłowacja, które balastu tradycyj szlacheckich nie posiadają, zagadnienia te już dawno rozwiązały i stoją pod tym względem dalego przed nami. U nas bieg tych spraw tamuje szlachetczyzna ze wszystkich sił.

W tym też leży przyczyna nieporozumień, jakie u nas wynikają między wsią a Państwem, urzędnikiem a chłopami, władzami a organizacjami gospodarczymi.

Rok temu ukazał się na łamach „Kuźnicy" artykuł, obrazujący położenie drobnych dzierżawców rolnych na Śląsku. Wywołał wielką burzę. Najwięcej krzyczeli ludzie, którzy sprawom drobnych dzierżawców nie poświęcali przedtem najmniejszej uwagi. Zarzucano, że cyfry zawarte w artykule są wyolbrzymione, bo drobnych dzierżawców na Śląsku jest nie 40.000, lecz kilkanaście tysięcy. Jednak ci znawcy terenu nie mieli odwagi skruszyć kopii jawnie. Jedynie ukradkiem rozpowiadali, że zagadnienie drobnych dzierżawców rolnych wogóle na Śląsku nie istnieje. Wprawdzie trochę dzierżawców jest, ale czynsze jakie płacili w 1934 r. obszarnikom niemieckim i koncernom przemysłowym w wysokości przeciętnej 80—160 zł za rok i 1 hektar, zdaniem tych odważnych obrońców interesów niemieckiego kapitału, miały być całkowicie uzasadnione. Rzesze wyzyskiwanych drobnych dzierżawców śląskich uznały jednak widocznie, że jest inaczej. Oto z początkiem 1936 r. utworzył się Związek Drobnych Dzierżawców Rolnych Województwa Śląskiego, do którego w ciągu pół roku zgłosiło przystąpienie przeszło 2000 członków. Zadaniem tej organizacji jest stworzyć grunt oparcia dla tysięcznych rzesz dzierżawców śląskich użytkujących ziemię niemieckich książąt Plesów, Donnersmarcków, Hohenlohych, Raciborskich i różnych przeważnie niemieckich towarzystw akcyjnych. Rzesze te były dotychczas bez żadnej opieki. Nic też nie wiedziały o ogólnopolskiej ustawie o ochronie drobnych dzierżawców rolnych, obowiązującej od 1924 r. na terenie całego Województwa Śląskiego, a która mówi, że długoletni drobny dzierżawca ma płacić tylko do 23 zł rocznego czynszu za 1 ha gruntu I. klasy i że nie może być aż do wygaśnięcia ustawy usunięty przez właściciela dzierżawionego gruntu.

O tym wszystkim zaczął informować drobnych dzierżawców utworzony związek oraz udzielać im bezpłatnych porad prawnych w procesach z właścicielami ziemi. Pod naciskiem związku cały szereg właścicieli ziemskich obniżył już czynsze dzierżawne. Pomimo to drobni dzierżawcy i w tych wypadkach płacą jeszcze w 1936 r. o wiele większy czynsz niż wynosi ustawowa norma.

Jednak szlachetczyzna na tym nie poprzestała. W okresie tworzenia się Związku Drobnych Dzierżawców znalazły się osoby, które zaczęły rozpowiadać, że Związek jest nie potrzebny, że wywołuje on sztuczne niezadowolenie wśród dzierżawców i, co najbardziej charakterystyczne, opowiadano, że Związek „komunizuje ludzi".

Okazuje się zatem, że uświadomienie obdzieranego ze skóry biedaka o jego prawach, informowanie o obowiązujących w Polsce przepisach i pomoc w realizowaniu ustaw polskich dla pustej głowy karmazynowego szlachcica jest — u nas komunizmem. Oczywiście szlachetczyzna wolałaby, żeby z człowiekiem prostym, rolnikiem czy robotnikiem nikt się nie bratał, nikt mu nie podawał dłoni, bo sama się na to zdobyć nie może, a w rzeczy samej stanowi to dla niej poważne niebezpieczeństwo. „Herbowi panowie" nie chcą wiedzieć, że traktowanie sprawy z ich punktu widzenia jest wielce szkodliwe dla interesów państwowych. Sprawa drobnych dzierżawców na Śląsku jest sprawą narodową, polską.

Bo jak te sprawy wyglądają z bliska? Drobny dzierżawca był na Śląsku od dziesiątków lat zależny od niemieckiego magnata — obszarnika. Znajdował on wprawdzie uboczne zarobki na folwarku czy w lasach pańskich. Stąd zrodziło się złudzenie, że płacone przez nich czynsze dzierżawne nie są wysokie. Atoli zależność ta nie miała charakteru jedynie gospodarczego. W każdym zarządzie dóbr książęcych czy spółki akcyjnej dyryguje sprawą drobnych dzierżaw do dziś dnia gajowy lub rentmeister. Od tego urzędnika, który jest zaufaną osobą właściciela ziemi, nastawioną rzecz jasna na taką samą hakatystyczną nutę, co Oświecony Książę, od tego zastępcy obszarnika niemieckiego zależy, czy dzierżawca „X" otrzyma w bieżącym roku działkę w dzierżawę lub nie. Terrorem też i szykanami różnymi trzymał on dotąd lud w garści i wymuszał czynsze tak wysokie, jak tylko zechciał. Że przy tym grały także silną rolę wpływy polityczne, nie trzeba wspominać. Dzierżawcy zależni od dworu posyłali nierzadko dzieci do niemieckich szkół, płacili czynsze, dochodzące jeszcze w 1934 r. do 240 zł od ha rocznie i wierzyli w dobrodziejstwo i łaskę.

Natomiast znane są wypadki, że tacy magnaci niemieccy rok rocznie w czasie świąt Bożego Narodzenia obchodzą osobiście chaty drobnych robotników śląskich i „hojną" ręką dają biednym rodzinom

po kilka, kilkanaście złotych zapomogi, przywodząc polskiemu chłopu na pamięć owe jakże „dobre“ czasy panowania pruskiego. Obłuda ta ujawnia się ze strony obszarników Niemców li tylko z pobudek politycznych.

Taki pan ma zresztą z czego dawać po parę złotówek na cele germanizacji, jeżeli w ciągu roku zabrał w dwój — a nieraz aż w czwórnasób czynsze dzierżawne ponad ustawową normę. Tym to germanizatorom ludności polskiej na Śląsku szlachetczyzna usiłuje zjednać opinję publiczną. Związek Drobnych Dzierżawców, nie dbając o to, że mu czynniki nie sprzyjające wymalowały czerwono-komunistyczny szyld, robi swoje. Przede wszystkim związek zdaje sobie z tego sprawę, że walka o obniżkę czynszów do normy ustwawowej nie wyczerpuje zagadnienia drobnej dzierżawy na Śląsku. Ziemia, która od kilkunastu, a nawet od kilkudziesięciu lat jest dzierżawiona przez jedną i tę samą rodzinę, nie może już być dzierżawcy odebraną. W interesie Państwa też leży, aby raz na zawsze przeciąć intymne węzły krępujące dzierżawcę w zależności od niemieckiego obszarnika, aby zlikwidować tę nowoczesną pańszczyznę w Polsce. Ziemia musi być uwłaszczona na rzecz drobnych dzierżawców na warunkach jak najbardziej dogodnych. Nadpłacone czynsze od 1924 r. muszą być zaliczone na poczet ceny kupna.

Aby sprawy uwłaszczenia drobnych dzierżawców pomyślnie rozwiązać, musi być powołana do życia specjalna ustawa dostosowana do stosunków śląskich. Jeżeli do uwłaszczenia kilku tysięcy dzierżawców na Kresach Wschodnich ogłoszono swego czasu osobne ustawy, będzie ze wszechmier celowym, aby na równi potraktować dziesiątki tysięcy dzierżawców śląskich.

Ustawa o wykonaniu reformy rolnej, która ma być rozciągnięta po 1937 r. na obszar Górnośląski, nie da drobnym dzierżawcom tych korzyści, którychby mieli się prawo spodziewać. Należy się obawiać, że wyniknie przez jej zastosowanie w celu uwłaszczenia drobnych dzierżawców na Śląsku, duży chaos i wiele niezadowolenia. Już obecnie przedsiębiorstwo osadnicze „Ślązak“ wykupuje grunty objęte ustawą o ochronie drobnych dzierżawców, która tych gruntów nie pozwala parcelować. Toteż Związek Drobnych Dzierżawców będzie konsekwentnie dążył do celu, pilnując zagrożonych interesów swych członków, które zarazem pokrywają się z interesami państwa na Śląsku. W swej pracy związek ma prawo spodziewać się poparcia ze strony władz państwowych, jak również nadzorów sądowych największych przedsiębiorstw na Śląsku Ks. Plessa i Wspólnoty Interesów. Instytucje te, wbrew urobionej opinii ze strony szlachetczyzny, zajmą można się spodziewać, w tej sprawie stanowisko obywatelskie i społeczno-państwowe, idąc Związkowi Drobnych Dzierżawców Rolnych jak najdalej na rękę, w myśl obowiązujących przepisów prawnych.

BARTŁOMIEJ PYRLIK.

Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku.

Bezstronnie przyznać trzeba, iż niedługo stosunkowo istniejący Instytut Śląski w Katowicach jest placówką potrzebną i pożyteczną. Poczynania jego, celowo inicjowane i realizowane, spotykają się z ogólnym uznaniem, a dorobek jego jest już tego rodzaju, iż zwraca na siebie uwagę wszystkich, którzy cokolwiek ze Śląskiem mają wspólnego. Przykładem tego najlepszym jest spora publikacja [1]), jaka ukazała się na rynku księgarskim z początkiem roku bieżącego.

Znaczenie jej i celowość lepiej zrozumiemy, gdy przypomnimy sobie polskie życie naukowe na Śląsku przed powstaniem tej placówki, której programem niejako są postulaty, zawarte w „Stanie i potrzebach“. Nauka polska żyła na Śląsku już dawniej, początkami swymi bowiem sięga wieku ubiegłego, do takich postaci jak Lompa. Cechowało ją jednak ubóstwo, jednostronność — i można i tak powiedzieć — zupełny chaos. Powodów takiego stanu rzeczy jest wiele i są aż nazbyt jasne. Z chwilą powrotu Śląska do Polski zmieniło się wiele [2]), lecz i teraz jeszcze poczynania naukowe, nie skoordynowane i samowolne, a raczej dorywcze i przypadkowe, wykazywały braki, rozbieżność i w wielu wypadkach kulały. Wprawdzie powołano do życia Muzeum Śląskie w Katowicach, istniało Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku, Towarzystwo Ludoznawcze w Cieszynie i wiele innych, lecz pomimo to wyczuwało się brak czegoś, coby regulowało ów ruch, skierowywało jego nurt do właściwych łożysk, czyli krótko: porządkowało...

Jednym z pierwszych większych, a jakże szczęśliwych pociągnięć Instytutu Śląskiego — to właśnie „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku“. Sam fakt takiego rozpoczęcia pracy uznać należy za niezmiernie trafny i szczęśliwy. Oto w zbiorowej tej pracy, montowanej pod redakcją dyrektora Instytutu, Dra Romana Lutmana, zrobiono porządny przegląd tego, co nauka polska na Śląsku i dla Śląska zrobiła, a po rozejrzeniu się w stanie dotychczasowym i zsumowaniu jego wyników, zastanowiono się nad przyszłością i wytyczono jej szereg prac, które dopełnią, względnie w wielu wypadkach stworzą dopiero to, co nazywać się będzie polską nauką o Śląsku.

A do zrobienia — jak się o tem dowiedzieć można ze „Stanu i potrzeb“ — jest wiele, bardzo wiele. Trzeba tylko głów i rąk do pracy, a nie owej megalomanii i żerowania na konjunkturze, która niestety i do nauki i na tym odcinku życia polskiego się wdziera...

Stan i potrzeby poszczególnych gałęzi nauki nakreślone zostały przez ludzi, którzy znali się na rzeczy i dali w swych zakresach rzeczy naprawdę pierwszorzędne. Co fachowiec, to fachowiec — na to nie da się nic powiedzieć... Kolejno, w szczegółach, rzecz przedstawia się następująco: o geologii Śląska Cieszyńskiego pisał Marjan Książkiewicz, o geologii Śląska Górnego Edward Passendorfer, badania geologiczne węgla w polskim zagłębiu węglowym przedstawił Tadeusz Bocheński, botanikę opracowała Aniela Kozłowska, zoologię Andrzej Czudek, geografię Antoni Wrzosek, kartografię Bolesław Olszewicz, antropologię Kazimierz Stołyhwo i Ludomir Sedlaczek-Komorowski, etnografię Mieczysław Gładysz, językoznawstwo Prof. Kazimierz Nitsch, piśmiennictwo Wincenty Ogrodziński, prehistorię Prof. Józef Kostrzewski, historię Karol Piotrowicz, historię sztuki Mieczysław Gębarowicz, stosunki gospodarcze i społeczne Wacław Olszewicz, wreszcie stosunki prawne i demografię Edward Kostka. Całość poprzedził przedmową redaktor wydawnictwa, Roman Lutman.

Poszczególne rozprawy, niektóre bardzo obszerne, zobrazowały nie tylko stan czyli to, co już zostało zrobione, lecz dały coś więcej: w historycznym zarysie przedstawiły rozwój poszczególnych dziedzin nauki na Śląsku. Otrzymaliśmy w ten sposób monografię historyczną o rozwoju badań ludoznawczych na Śląsku, zarys dziejów kartografii śląskiej i t. d. Rozdział n. p. o piśmiennictwie, jeden z najobszerniejszych (str. 209— 291, z osobnym indeksem), jest wyczerpującym a zarazem doskonale ujętym zarysem dziejów piśmiennictwa śląskiego, a to samo możnaby powiedzieć i o innych rozdziałach. W literaturze polskiej o Śląsku nie było do tej pory podobnych ujęć, co oczywiście podnosi bardzo wartość „Stanu i potrzeb“, jako monografii o nauce i kulturze umysłowej na Śląsku w czasach dawniejszych i współczesnych. Poważne i fachowe omówienie poszczególnych rozdziałów wymagałoby „sztabu“ fachowców co najmniej takich jak lista autorów dzieła.

Przedstawić pokrótce należałoby także, jakie to najważniejsze zadania wytyczyli wymienieni powyżej pisarze nauce polskiej w odniesieniu do spraw śląskich. Potrzeb tych jest wiele, na tym miejscu jednak przypomnimy te tylko, które redaktor wydawnictwa zebrał na wstępie, określając je jako najpilniejsze. W zakresie geologii zachodzi potrzeba przeprowadzenia zdjęć geologicznych terenu województwa śląskiego, szczególnie zagłębia węglowego, oraz wydania mapy geologicznej. Autorowie rozdziałów o florze i faunie domagają się utworzenia stacji meteorologicznej w Beskidach dla celów doświadczalnych, oraz utworzenia rezerwatów przyrody dla przeprowadzenia racjonalnej ochrony przyrody na Śląsku. W geografii i kartografii odczuwa się dotkliwy brak ogólnego i antropogeograficznego atlasu Śląska oraz przewodnika po województwie śląskim. W zakresie antropologii trzeba przeprowadzić planowe badania terenowe celem zebrania systematycznego materiału, pozwalającego na zorientowanie się w strukturze antropologicznej ludności Śląska. Etnografii trzeba krytycznego wydania materiałów etnograficznych i dalszego ich planowego zbierania, obejmującego wszystkie przejawy kultury duchowej i materialnej, opracowania odpowiednich kwestionariuszy, wreszcie utworzenia śląskiego ośrodka badań etnograficznych. W językoznawstwie dojść winno do opracowania atlasu językowego i słownika gwarowego, zbadania dzisiejszego stanu językowego oraz stworzenia dla tych celów ośrodka studiów językowych. W zakresie piśmiennictwa zachodzi potrzeba wydania śląskiego słownika biograficznego, wydania dzieł dziejopisów i pisarzy łacińskich Śląska, oraz wydawania biblioteki pisarzy śląskich [3]). Potrzeby historii — to zinwentaryzowanie historycznych materiałów rękopiśmiennych [4]), opracowanie genealogii książąt śląskich, wydanie śląskiego kodeksu dyplomatycznego oraz podręcznika dziejów śląskich i historii księstw śląskich. Historia sztuki i prehistoria zająć się powinny inwentaryzacją materiału zabytkowego, systematycznym badaniem grodzisk i opracowaniem zabytków romańskich oraz kościółków drewnianych. Stosunki gospodarcze i społeczne domagają się systematycznych prac socjograficznych, badań ankietowych, wydania monografij stosunków rolnych i przemysłu śląskiego, wreszcie porządnej monografii województwa śląskiego. W związku ze stosunkami prawnemi zachodzi potrzeba wydania zbiorów najważniejszych ustaw i rozporządzeń, oraz prawa ziem śląskich, opracowanie działalności sejmów śląskich, Górnośląskiej Konwencji Genewskiej i orzecznictwa instytucyj międzynarodowych w sprawach śląskich. W zakresie demografii zachodzi potrzeba odpowiedniej rozbudowy Śląskiego Biura Statystycznego, potrzeba podręcznika statystyki Śląska oraz potrzeba wszechstronnego opracowania wyników spisu ludności z roku 1931 dla województwa śląskiego.

Naczelną potrzebą, którą wszyscy prawie autorowie zgodnie określają jako najważniejszą i najpilniejszą — to sprawa bibliografii śląskiej, szczególnie dawniejszej, bo nowszą ujmuje „Wykaz literatury

bieżącej o Śląsku", będący również wydawnictwem Instytutu Śląskiego. Brak bibliografii daje się dotkliwie odczuwać na każdym kroku. Wprawdzie omawiana książka po każdym rozdziale daje spis prac łączących się z danym zagadnieniem — w tym stopniu, iż dzieło może być z tego powodu nazwane przewodnikiem po literaturze naukowej o Śląsku, jednak bibliografia jako taka nie była w niej celem, a raczej tylko pomocą [5]). Obszerne w większości wypadków wykazy literatury na dane tematy nie wyczerpują wprawdzie materiału bibliograficznego śląskiego [6]), lecz służyć już mogą z powodzeniem jako tymczasowa bibliografia oraz kościec przyszłej bibliografii szczegółowej.

„Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku" są książką pod wieloma względami pionierską.

LUDWIK BROŻEK.

Przypisy:

[1]) Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku, praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana, Katowice 1936, Wydawnictwa Instytutu Śląskiego (= Pamiętnik Instytutu Śląskiego, t. I), 8⁰, str. XXVI.

[2]) Tadeusz Dobrowolski, Życie naukowe Śląska, Nauka Polska, t. 19, Warszawa 1934, str. 344 i nast.

[3]) Wydawnictwem „Biblioteki pisarzy śląskich" Zajął się Instytut Śląski. Wyszedł już tom I (Bonczyk, Stary kościół miechowski, w opracowaniu Wincentego Ogrodzińskiego) oraz IV (kompletne wydanie poematu Roździeńskiego „Officina ferraria" w opracowaniu prof. Romana Pollaka).

[4]) Inwentaryzacja archiwaliów śląskich zajmuje się już od dłuższego czasu Ludwik Musioł. Zob. jego „vademecum" p. t.: Archiwa i archiwalia w województwie śląskim, Katowice 1936.

[5]) Ujmowali ją autorowie poszczególnych rozdziałów jako przypisy do swoich wywodów. Czynili to jednak celowo i hojnie (nie wszyscy wprawdzie!), co w wyniku dało w większości wypadków cenne zarysy bibliograficzne. W zakresie kartografii spotykamy n. p. 172 pozycyj, w etnografii 157, w historii 287, w stosunkach gospodarczych i społecznych 270 i t. d.

[6]) Braków jest sporo, błędnych informacyj również, lecz jeśli sobie uświadomimy, iż prace większości autorów są pracami pionierskiemi — zarzutów z tego względu nie można robić żadnych. Rzucę parę chociażby tytułów uzupełniających:

wśród dotychczasowych opracowań piśmiennictwa śląskiego, obok takich rzeczy jak n. p. Kahlerta „Schlesiens Anteil an deutscher Poesie", czy Streita „Der Anteil Schlesiens an der tschechischen Literatur" należy także postawić rzecz Wojciecha Martinka o polskiej literaturze na Śląsku (Ceskoslovenske Vlastiveda, Swazek VII: Pisemnictvi, str. 291 i nast.)

W rozdziale o kartografii obok dawniejszych prac polskich ks. Gregora czy insp. Karola Buzka, wymienić trzeba prace Klemensa Matusiaka: 1) Atlas geograficzny, Cieszyn 1913, 11 szkiców kartograficznych w tem mapa księstwa Cieszyńskiego w podz. 1 : 300.000, wydana również osobno. Rec.: Fr. Popiołek, Mies. Ped., 1914, p. 102, 2) Mapka narodowościowa Księstwa Cieszyńskiego według spisu ludności z r. 1910, Rec.: Fr. Popiołek, Mies. Ped., 1915, str. 56—58 oraz Dziennik Ciesz., 1915, 207.

W rozdziale o etnografii przytoczono n. p. pracę Stefana Kuczkowskiego o zwyczajach spadkowych na Śląsku Górnym, jednak nie podano zupełnie jej adresu (Zwyczaje spadkowe włościan w Polsce, Część II, Warszawa 1928, Biblioteka Puławska t. 9, str. 97—128). Całkiem opuszczono inną pracę z tegoż wydawnictwa, dotyczącą Śląska (Rudolf Karpiniec, Włościańskie zwyczaje spadkowe na Śląsku Cieszyńskim, Tamże, Część I, Bibljoteka Puławska t. 8. str. 131—157). Zamiast etnografa podał ją ekonomista...

Brak miejsca nie pozwala na przytaczanie innych pozycyj Znajdzie się zresztą na nie miejsce tam gdzie trzeba, to znaczy w bibliografii ogólno-śląskiej.

Bytom — Berlin.

Po odprawie celnej w Bytomiu, w której wszystko właściwie sprowadziło się do podejrzliwego sprawdzania polskich druków, zasnąłem, by obudzić się dopiero na jednym z dworców niemieckich za Wrocławiem. Miałem dziwne przeżycie przed przebudzeniem, sięgające moich niedawnych wspomnień pułkowych, do czego przyczyniła się i twardość naszego pysznego pullmanu. — Zdawało mi się, że jestem wzywany ostrymi, brzmiącymi jak komenda słowami. Co to? — przecieram oczy. Ostry dyktat komendy dolatuje dalej przez okno. Wychylam się i spostrzegam młodego, wystrzyżonego sprzedawcę gazet popychającego swój bogato wypchany wózek i wykrzykującego nagłówki gazet tonem tak mentorskim. Opodal, towarzysz reklamuje podobnym tonem swe gorące parówki.

Oto pierwsze wrażenie na linii Kraków—Bytom—Berlin i równocześnie pierwsze drobne nieporozumienie. Podnoszę się, lekko skonfundowany i siadam twarzą w twarz wobec dwóch towarzyszy podróży, Niemców, którzy, podobnie jak ja, witają dzień zaspanymi oczami.

W tańczącym na resorach wagonie, podobnie, jak przy stoliku w barze, języki ludzkie rozwiązują się szybko, a uciekająca przestrzeń zdaje się niecierpliwie przynaglać do zwierzeń nad chyżo mknącym czasem. Zaczynają Niemcy i dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, skierowują raptownie rozmowę na tematy polityczne.

Keinen Krieg! — wołają z miejsca razem, zgodnie, jak strzelił. Nie chcą żadnej wojny, nikt w Niemczech jej nie chce — zapewniają mnie, nie czekając pytań w tym kierunku. Już po trzech zdaniach zaczynają

się jednak między nimi zarysowywać różnice. Jeden okazuje się centrowcem, niezbyt ukrywającym swe nastawienie opozycyjne, drugi wyraźnym zwolennikiem regime'u.

Katolik jest odważny, mówi głośno i za wszystkich w wagonie. Na pytanie, jaką potęgą militarną uważa w tej chwili za największą, odpowiada: Russland— Rosję Sowiecką. Ma jakieś relacje, które mu każą wysoko oceniać ducha i poziom bojowy armii sowieckiej. Niemcy? nasi żołnierze muszą przejść jeszcze długą szkołę, stwierdza przy ogólnej aprobacie. Są źle i pośpiesznie wyszkoleni.

Przechodzimy do ogólnej sytuacji eruropejskiej. Urządzam małą ankietę na temat, jak moi, sąsiedzi pragną rozplątać węzeł ekonomicznego i politycznego kryzysu, jakim w kij została związana Europa w latach trzydziestych. — Głos katolika tętni znów pod sufitem wagonu: primo, należy przeprowadzić stabilizację wszystkich walut światowych, secundo, rozwalić mury celne w Europie.

— Tylko nad granicą znajdzie Pan szowinistów w Niemczech — woła. Kraje potrzebują się nawzajem. Niemiec chętnie chce handlować z resztą świata.

Co myśli drugi? Hitlerowiec grzecznym tonem

JANINA ZABIERZEWSKA

Są...

Są myśli, które czas mielą na pustych chwil
[otręby —
myśli — jak ziemia czarna stokroć zużyta na próchno —
myśli — których dotkliwość rani — jak kąsające zęby,
myśli — łzy nadaremne — od których oczy puchną,

Są słowa, które kryją błękitną barwę nieba,
słowa — jak lotna chmura śpiewnych jaskółek
[smukłych,
słowa — krzepkości pełne — jak rdzeń zielony
[drzewa,
że trudno doprawdy pojąć — gdy mówi je
[ktoś smutny. —

Są dzieła mocne i wielkie, przerastające człowieka —
Czyny mówiące o ludziach — więcej niż oni —
[i głośniej —
Żywe pomniki Ducha — przemawiające po wiekach,
podobne owocnej Jesieni — rozkwitającej o Wiośnie —

Mistrz i publika.

Szukalski znajduje ujście dla swego temperamentu nie tylko w pracy artystycznej — ale i w propagandzie swoich pomysłów.

Indywidualność jego to nie tylko problem artysty i jego sztuki, ale i działalności politycznej. To ostatnie zagadnienie wyodrębniło się i zaczyna dominować, usuwając artystę na plan drugi. Reakcja opinii publicznej tej z dzienników na działalność mistrza jest różnolita.

Jednak opinia „szarego człowieka" jest dość oryginalna, co mieliśmy sposobność stwierdzić w czasie zwiedzenia wystawy Szukalskiego w Katowicach.

W sali, gdzie znajdują się rzeźby, przybita jest ulotka propagująca budowę „Duchtyni". Publiczność zwiedzająca wystawę jest proszona o składanie swych podpisów na znak solidarności z poglądem mistrza.

Jak wygląda solidarność i opinia szarego człowieka, niech zaświadczy kilka przytoczonych uwag, charakteryzujących poziom opinii wzwyż wzmiankowanego szarego człowieka. Głos ma podpisany „Piorun spod Gliwic": „Precz z pyskami w sztuce. Ideę czynu i myśl zakuć w granit tak jak Szukalski. Wszystkie dotychczas postawione pomniki w Polsce zburzyć (pomnik Moniuszki z Katowic?!!!) Wyrywać chwasty i otrzeźwiać Polaków!!"

Słusznie, ale pod warunkiem, by myśli głów już zakutych nie zakuwać powtórnie w granit i otrzeźwiać Polaków, którzy chcą zburzyć wszystkie pomniki. Natomiast nie mamy nic przeciwko wyrwaniu chwastu pomnika Moniuszki, — chociaż taki pomnik naogół harmonizuje z „taką" architekturą, jaką się szczyci wojewódzkie miasto Katowice. Albo takie stylem Cezara napisane zdanie: Byłem, widziałem, zostałem oczarowany. Co to ma wspólnego z budową duchtyni pozostaje tajemnicą autora tego zdania. Do głosu dochodzi stuprocentowy, ale polski hitlerowiec, który pisze:

„Nazwano cię warjatem-szaleńcem, bo nie wiedziano, że jesteś w rzeźbie i w obrazie Polski duchem — objawieńcem. Dlaczego? Dlatego, że Polska zakuta w Jezusa Żyda kajdany nie rozumie, że krew i ziemia to najświętszy sakrament Polaka. Tyś to zrozumiał, to mówią Twe myśli, które czytam zakute w kamienia bryłę. Mówi to Twój błyskawicowy pędzel, że Polska to religia, to moc, to naród, to Państwo Polaków. Podaj mi dłoń do walki i zwycięstw Bolesława Śmiałego. Słowa te piszę jako męczennik, okuty przez kler i żydów.

Niech żyje Szukalski, amfora polskiej myśli, 6 sierpnia 36 r. w dniu I Brygady walczącej".

Słowa te wypisane wielkimi literami przez całą stronicę otoczone są obwarzankiem drobnych uwag jak psiątka ujadających na wielkie litery o wielkości.

stwierdza, że Niemcy duszą się bez ziemi i surowców. Zastrzega się, iż wypowiada tylko własny sąd, nie mniej, zdaniem jego, przyszłość całej Europy leży w Rosji. Tak, przede wszystkim przyszłość Polski i Niemiec leży w Rosji Sowieckiej. Krzywi się niechętnie, gdy zagaduję, czy „prywatnie" rezygnuje na zawsze z Pomorza i Śląska. Ma cały szereg innych rad. Przede wszystkim prowadzi mnie do mapy przybitej w korytarzu wagonu i pokazuje Litwę.

— Tak, to jest Litwa, mówię.

— Mały kraj —

— Tak, ale chce być niezawisły. Odrzuca ofertę współpracy z Polską.

— Mały kraj. Tu jest też dostęp do morza dla Polski. Gdy chodzi o losy Europy, nie można się liczyć z taką garstką...

x * *

Za oknem wirują szerokie szmaty pól junkierskich. Pól, nad którymi chyli się po dziś dzień grzbiet słowiańskiego robotnika. Niemiec mówi o pokojowym przetasowaniu granic. Twarz jego nacechowana jest wiarą i uczciwością, rysem, do którego gwałtownie zdaje się lgnąć natura niemiecka, traktowana jako przejaw indywidualny i odosobniony.

Jednocześnie zdaję zobie sprawę, iż rozmawiam z człowiekiem, którego sumienie i kręgosłup indywidualny zostały poddane ciśnieniu miliona atmosfer psychiki rasowej i są systematycznie miażdżone. Gdzieś tam wypadła krzywa kompromisu między własnym sumieniem i niemieckim. Gdzie? co to kogo może obchodzić. Rozmowa polityczna z tym partnerem, ideowym bezsprzecznie hitlerowcem, pozbawiona jest znaczenia. Jest to rozmowa z medium w transie, lub dzieckiem rozmarzonym gorączką. Jaką wagę przywiązywać do słów tak wypowiedzianych, jaką wartość miałby podpis położony tą ręką?

Ściany wagonu zdają się przedłużać w nieskończoność, z prawej strony bieli się mapa, na której towarzysz mój proponuje korekturę granic zachodnich Rzeczypospolitej. Tym razem definitywnie stanowczo kończę rozmowę, stwierdzając że Polska niema zaufania do Niemiec.

II.

Katolik po wyjściu z pociągu na Zoo-Bahnhof długo idzie jeszcze ze mną. Zdaje się wysoko cenić możliwość zetknięcia z Polakami i usiłuje wybadać wszechstronnie jego opinie. Mówi bezładnie, jak polityczny maruder Reichu. Ciężko zmaga się ze sobą. Typ człowieka niezadowolonego, lecz organicznie niezdolnego do konspiracji.

I tak uwaga „nie pytać, budować" albo „x, y nie zrozumiał kultury łacińskiej i kościelnej i okazał się pierwszorzędnym idiotą", albo — megaloman „a zdałby się kaftan bezpieczeństwa" — „fanatycy" w samym rogu jedna jedyna treściwa uwaga zawarta w jednym słowie „N". Ktoś nawet pozwolił sobie na satyrę w rodzaju Baki:

Ludzkie wady pięknem zowiesz
a zdziebełka wyolbrzymiasz,
zbiory choć są dość bogate
nie są wcale tak „rogate",
myśl ułomna jak kit lepki,
bo wszędzie raczej brakuje klepki.

Lecz oto inny pociesza mistrza:

„Mistrzu" zawiódłbym Cię pod Smoczą Jamę, abyś tam mógł swoje myśli wielkie w czyn wprowadzać". Odzywają się także kobiety —

„Uwielbiam takich mistrzów, którzy umieją stwarzać fantastyczne obrazy" powiada jedna Pani — Inna kobietka żali się smutno —

„Za dużo każesz myśleć mistrzu" — powiada.

Biedactwo, musi myśleć, to okropne!

Mistrzu, jak możesz się znęcać w ten sposób nad bezbronną kobietą!

Albo jeszcze taka uwaga.

„Rysunek świetny — talent olbrzymi, ale od wykonania tych planów niech Bóg zachowa! Głowy przepiękne, lecz z głową mistrza coś gorzej".

Nie jestem mistrzem, jednak odczuwam, że jeszcze kilka takich uwag, a z moją głową też będzie źle, jeśli nie gorzej.

Wszystkie te uwagi są naogół jednak pouczające. Kilka z nich odnosiło się do kwestii Duchtyni i te są beznadziejnie banalne. Te natomiast niebanalne przytoczyłem. Jeżeli większość uwag jest na poziomie powyższych, a z uwag dwóch kobiet wynika, że jedna uwielbia, a druga musi niestety myśleć, to niewesołe przychodzą myśli. Drobnomieszczańskie kołtuństwo i płycizna wypowiedziały się bez obsłonek.

W niewesołym gronie wielbicieli znalazł się mistrz.

Zaiste najwyższy czas, by się mistrz zabrał po kampanii z Ipsem do swoich wielbicieli. Najwyższy czas, zacząć wyrywać chwasty, kamienia bryłą walić w zakute łby męczenników, okutych przez żydów i kler, błyskawicowym pędzlem — miotłą przepędzić wariatów — szaleńców i wielbicielki z Duchtyni i na wszelki wypadek przyodziać kaftanem bezpieczeństwa, by ludzie normalni mogli odetchnąć —

Oczyściłaby się atmosfera, która obecnie kojarzy się nie tyle z „amforą polskiej myśli" ile z zaduchem Augiaszowej stajni.

Możnaby dopiero wówczas pomówić o sztuce Szukalskiego.

E. S.

Mówi Pan, że nie macie zaufania do Niemiec. Wcale się temu nie dziwię. Nie wszystko można dziś powiedzieć w wagonie, ale musi Pan wiedzieć, że tu wciąż rosną podatki i zbrojenia. Państwo zabiera wszystkie pieniądze. Czy to się nie zakończy wojną, Bóg wie. Nie sądź Pan, że Niemiec jest złym człowiekiem, ale dopóki ma swój sznycel i cygaro, nie będzie działał przeciw rządowi. Ten rasizm, to zgubna rzecz. Młodzież też w gruncie rzeczy poszła na to. Mimo wszystko świat ma nas w rękach, Anglia nam nie ufa.

Ach, ten rasizm... Ale nie sądź Pan, że Niemiec jest złym człowiekiem.

Tak marudził mój poczciwy maruder. Silny wiatr dął ulicami Berlina, chylił świeżo zasadzone drzewka i rozwiewał poły płaszczów. Skakał po ścianach kamienic, które wybieliły się uroczyście na wielką galę olimpiady.

* * *

Jesteśmy tylko w tranzycie przez Niemcy. Prawie tylko ze stopni wagonu, w kilkugodzinnym skrócie możemy tylko oglądać klasyczne widowisko Olimpiady. Rzeczy tak kapitalnej dla wieków i tak małoznacznej dla roku 1936. Może tak właśnie ujmują w najlepszej perspektywie. Olbrzymieje nad Berlinem napis: „Deutschland ist schöner geworden" — Piękniejsze stały się Niemcy. Co chwila pociągi wyrzucają nowe garści etranżerów ciekawych ojczyzny „Faktów Dokonanych". Autokary, prospekty, waluty, chorągwie...

I znów chwilowo, poraz pierwszy od założenia III Rzeszy, Niemcy są państwem międzynarodowym. Na olbrzymich szachownicach stadionów mierzy się najszlachetniejszy wysiłek narodów, tryumfuje prawda, iż można bić się i rękawicami pokojowymi. I znów Europa, nie mogąca znaleźć drogi między złudzeniami wojny i złudzeniami pokoju, ma jedną piękną chwilę.

GA-ZET.

Refleksje poolimpijskie.

Gdy z okazji szczęśliwego wejścia naszych piłkarzy do półfinału czołowe polskie pismo sportowe dało wyraz przekonaniu, że nawet w razie braku dalszych sukcesów sam fakt wejścia drużyny polskiej na stadion przed wielotysięczną publiczność zagraniczną jest już nielada efektem propagandowym, powiało na mnie wspomnienie czasów, zdawałoby się, dawno zapomnianych, czasów, gdy każde pojawienie się bodaj że imienia Polski na terenie międzynarodowym witaliśmy już jako poważny efekt propagandowy.

I pomyślałem, że jednak dystans od „zapomnianego narodu" do państwa, które ma i musi mieć aspiracje mocarstwowe powinien być większy i że widać nie wszyscy w ewolucji swych pojęć rozwojowi temu dotrzymali kroku.

Sprostujmy więc odrazu: nie to samo ma dla nas wartość, że jakaś publiczność międzynarodowa dowie się, iż w pewnej konkurencji także zawodnicy polscy biorą udział, ale dopiero fakt, że zawodnicy ci, przybywszy dla próby sił z innymi, wychodzą z tej próby zwycięsko. Biorąc udział mamy obowiązek zwyciężać wśród innych i jak inni. A czy mamy prawo nie wziąć udziału? Niestety, kodeks pojęć rozpowszechnionych dziś i obowiązujących nie pozostawia nam tego wyboru!

Są dziś tacy, którzy boleją nad tem, że ostre współzawodnictwo między narodami w tej dziedzinie skaziło samą ideę sportu. Pozostawmy te rozważania na uboczu, skoro chodzi nam w tej dyskusji właśnie o ocenę wyniku sportowego nie w płaszczyźnie indywidualnej, lecz narodowej. A tutaj nie ma już chyba nikogo, ktoby znaczenia tego współzawodnictwa nie oceniał.

Żyjemy w czasie, kiedy zwycięska pięść boksera może osiągnąć więcej niż najzręczniejsza gra dyplomaty. Może to i nie takie dziwne, skoro do szerokich mas więcej przemawia reprezentacyjny strój jedenastki piłkarskiej niż galowy frak ambasadora. Niech, kto chce, nawet boleje nad tem, ale trzeba się z tym faktem liczyć i do niego dostosować swoje poczynania. I trzeba, jeżeli powrócimy na grunt naszych rozważań, pamiętać, że tegoroczna Olimpiada, większa i wspanialsza od wszystkich dotychczasowych, była wydarzeniem pierwszorzędnego znaczenia właśnie pod kątem widzenie efektu propagandowego, osiągniętego przez poszczególne narody, których próba sił we wszelkich dziedzinach tężyzny fizycznej trzymała świat cały w napięciu przez z górą dwa tygodnie.

A jakiż był nasz udział w tej próbie sił? I co do tego, zdania nie mogą być podzielone. Dwudziesta któraś lokata Polski w plejadzie narodów, ani jedno pierwsze, dwa drugie i trzy trzecie miejsca osiągnięte przez naszych zawodników wśród tylu konkurencyj nie mogą być uważane za coś innego niż klęskę, której negować szkoda trudu, chociaż nad jej przyczynami można i trzeba zastanowić się poważnie. Nic nie powinno osłabiać tej świadomości. Jeżeli przez czynniki współodpowiedzialne za naszą ekspedycję są łapczywie wychwytywane i cytowane głosy prasy obcej, zwłaszcza niemieckiej, zawierające pod naszym adresem komplementy i pochwały, to trzeba

pamiętać, że prasa narodu gospodarzy, wykonując posłusznie dobrze obmyślany i nawet w dziedzinie recenzyj sportowych zorganizowany program, miała metodę chwalenia z naciskiem przede wszystkim tych wszystkich, którzy przegrywali, wychodząc ze słusznego założenia, że skoro zwycięzcy już i bez tego będą zadowoleni, w ten sposób zwiększy się tylko ogólną sumę dobrego nastroju gości. Niewiele więc pociechy z dobrej lokaty w tym „prasowym turnieju pocieszenia“. Oficjalna Olympia Zeitung taktownie nadmieniała w każdym numerze, że niema oficjalnej klasyfikacji państw, a jednak tabela klasyfikacyjna widniała i w samym tym piśmie i na wszystkich ożywionych punktach Berlina, była wystawiona w witrynach pism codziennych i sportowych całego świata, zmiany jej i przesunięcia obserwowaliśmy codziennie na łamach prasy. I w tej tabeli musieliśmy widzieć Polskę stale na szarym końcu.

Były zresztą także zestawienia o wiele przykrzejsze. W jednym z pism bardziej samodzielnie oceniających wydarzenia spotkałem się z poglądem, że należałoby właściwie oceniać rezultaty Olimpiady nie przez mechaniczne dodanie ilości medali zdobytych przez państwa, lecz przy uwzględnieniu liczby ludności poszczególnych państw. Tabela klasyfikacyjna z tą poprawką wykazała, że właściwie tryumfatorami są nie Niemcy i Stany Zjednoczone, ale Węgry i Finlandia. Trzydziestomiljonowa Polska zaś w ten sposób już zdecydowanie spadła na jedno z ostatnich miejsc. Świadomość klęski przedarła się jednak do świadomości społeczeństwa. Szukamy winnych. Robimy sobie nawzajem wymówki. Oskarżamy nasze władze sportowe, że nie przewidziały wysokiego poziomu konkurencji, że nie zabrały jeszcze tego czy innego zawodnika. Rozdrabniamy się na szczegółach, łamiąc ręce nad subordynacją Verey'a, czy nieposkromionym apetytem Noji'ego. Sądzę, że to wszystko nie ma wiele sensu. Czas dziś, gdy osłabła już gorączka aktualności spojrzeć na sytuację z szerszej perspektywy. O co właściwie mamy pretensję do pana ministra Ulrycha? Że nie wyhodował większego zastępu rekordzistów na wąskiej grzędzie polskiego sportu?

W sporcie, jak wszędzie, panuje prawo wielkiej liczby. Rozpowszechnienie sportu wszerz wyzwala automatycznie większą liczbę talentów, którym potem trzeba już tylko pewnej opieki dla osiągnięcia wyników szczytowych. Tresura poszczególnych zawodników, ograniczenie się do wydźwignięcia kilku jednostek, które wypłynęły przez przypadek może dać przelotne sukcesy bez głębszej wartości, w rezultacie może nawet szkodliwsze od wyraźnej klęski, bo zaciemniające prawdziwy obraz sytuacji. Olimpiada ma tylko sens jako miernik, jako porównanie przeciętnej tężyzny poszczególnych narodów, o której poziomie świadczą wyczyny jednostek i drużyn. Nie chodzi nam o jednostki, ale o masy. Podnieśmy poziom powszechności, a rekordy znajdą się same i cieszyć nas będą jako symptomy poprawy. Jeżeli sport jest luksusem, to jest luksusem koniecznym dla podniesienia zdrowia i sił fizycznych narodu, jeżeli nie osiągamy w nim powodzenia, to dowód, że sił tych braknie. I takie jest dla nas znaczenie Olimpiady. Była ona w dziedzinie sprawności fizycznej szerokim zetknięciem naszych aspiracji i dążeń z rzeczywistością. A jeżeli zetknięcie to było bolesne, to prawdziwym winowajcą jest nie co innego jak nędza i niski poziom szerokiej masy mieszkańców kraju.

Niesfałszowana świadomość klęski na Olimpiadzie 1936, wskazując nam drogę, jaką mamy jeszcze do przebycia, musi się stać jednym więcej z bodźców do ogromnej i szybkiej pracy nad podniesieniem sportowego poziomu obywatela.

Chcemy, aby nasz sztandar zwycięsko łopotał w bojach sportowych jak najczęściej, nie tylko dla tego, że schlebia to naszej narodowej dumie, ale także i przede wszystkim dlatego, że ujrzymy w tym widomy znak postępu na naszej drodze do dorównania tym, którzy najbardziej na to zasługują i wyprzedzenia ich w najkrótszym czasie.

FELIKS BOCHEŃSKI.

Z teatru im. St. Wyspiańskiego w Katowicach.

Na początek nowego sezonu scena katowicka otwarła swe podwoje dwom polskim autorom starej daty, których nazwiska dla ogółu trącą już myszką i nie przedstawiają już atrakcji. Uprzedzenie to w stosunku do **Blizińskiego „Marcowego kawalera“** i dwuaktowej komedii **Korzeniowskiego „Majster i czeladnik“** potrafił przełamać rok temu odrazu pierwszym przedstawieniem Stefan Jaracz, otwierając tymi sztukami piąty z kolei sezon swego samodzielnego i niezależnego teatru „Ateneum“ w Warszawie. W skromnej sali przy ulicy Czerwonego Krzyża zgromadziła się wówczas doborowa publiczność, która nie żałowała tego wieczoru. Ujrzała bowiem obydwie te komedie w ujęciu nawskróś współczesnym, reżyserja, gra artystów, dekoracje — wszystko to podkreślało doskonale stosunek, jaki zająć musi widz współczesny wobec tych nieskomplikowanych, naiwnych i sentymentalnych komedyjek, wobec ich poczciwych bohaterów i niewyszukanego komizmu. Jaracz i Perzanowska uczynili z nich niezawodną intuicją wielkiej miary artystów

stylową groteskę, która właśnie dzięki śmiałemu podkreśleniu naszego pobłażliwego i czasami ironicznego do niej stosunku, przemówiła do współczesnego widza swem pięknem. Większym polem do popisu był „Majster i czeladnik“, który też wypadł wspaniale. Jaracz bowiem pokazał jako Szarucki grę najwyższej klasy, styl groteski najlepiej przemawiał przez przeładowaną sentymentalizmem postać Kaspra w świetnej interpretacji Romana Wyspiańskiego. Ale szczególnie należy podkreślić zakończenie sztuki. Nieznajomy dobrodziej był tam potraktowany nieco karykaturalnie, ale utrzymany w stylu. Imponował strojem, grą, tonem mowy, był postacią naprawdę tajemniczą i komiczną w najlepszym gatunku.

A w Katowicach uczyniono zeń podtatusiałego lowelasa, figurę odartą z wszelkiego komizmu i płaską. Słowem taką, jaką ją stworzył Korzeniowski, mając intencje, których już dzisiaj uznać za dobre nie możemy. Na tej jednej postaci możemy odrazu uchwycić zasadniczą różnicę, jaka leży w realizacji Jaracza a realizacji Godlewskiego. Tu wzięto tylko to, co dali Korzeniowski i Bliziński, a to jest dla widza współczesnego bardzo mało. Obydwie te komedie nie mogą nas już zajmować i bawić w tej formie, w jakiej zostawili nam je autorzy. Musielibyśmy na to żyć temu lat przynajmniej osiemdziesiąt. Sztuki te trzeba interpretacją reżyserską i aktorską uwspółcześnić. Wtedy wystąpią w pełnym blasku tych zalet, jakie miały dla współczesnego im widza teatralnego.

W tym kierunku w teatrze naszym nic nie uczyniono. Dlatego przedstawienia te mają pewne szanse tylko na prowincji lub przy sprzedaniu sali np. cechowi szewców.

„Majster i czeladnik“ zagrany był znacznie lepiej niż „Marcowy kawaler“. Wyróżnić trzeba za całość gry p. Grzębską w roli Basi, za dobre momenty p. Wasilewskiego w roli Kaspra, oraz pp. Jastrzębskiego i Winiaszkiewicza. Reszta wypadła bardzo słabo a niektórzy (p. Przebiński w roli Mortka) niżej krytyki.

Eksperyment z Blizińskim i Korzeniowskim nie udał się. A mógł się udać i mógł być dużym sukcesem artystycznym teatru im. Wyspiańskiego.

Zh.

Notatki literackie.

Druk nowej powieści Gustawa Morcinka rozpoczął pod koniec sierpnia Ilustrowany Kurier Codzienny. Powieść nosi tytuł „Inżynier Szeruda“ i otrzymała drugą nagrodę na jubileuszowym konkursie literackim tego pisma. Dotychczasowe odcinki nie wykazują jakichś specjalnych zalet, natomiast zasadnicze słabe strony talentu Morcinka występują wyraźnie. Wśród szerokich rzesz czytelników powieść ta może stracić wiele wskutek tego, że nastąpiła bezpośrednio po dobrej, pełnej doskonałego realizmu i siły „Marcynie“ Juljusza Kędziory.

Początek sezonu 1936/37 w Teatrze im. Wyspiańskiego w Katowicach. Zgodnie z zapowiedzią sezon otwarto z dniem 1 września Blizińskiego „Marcowym kawalerem“ i dwuaktówką Korzeniowskiego „Majster i czeladnik“. Inauguracyjnym przedstawieniem będzie jednak dopiero „Wyzwolenie“ Wyspiańskiego. Przedtem jeszcze teatr nasz zdąży powrócić do „Rozkosznej dziewczyny“ i „Szesnastolatki“.

Biblioteka pisarzy śląskich. Pod tym tytułem zaczął się ukazywać nowy cykl wydawnictw Instytutu Śląskiego w Katowicach. Jako pierwsze tomy tego cyklu wyszły: Norberta Bonczyka „Stary kościół miechowski“ w opracowaniu Wincentego Ogrodzińskiego oraz Walentego Roździeńskiego „Officina Ferraria seu Huta i Warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego“ w opracowaniu Romana Pollaka. Obydwa te poematy to cenne pozycje w dziejach literatury śląsko polskiej, ze wszechmiar zasługujące na bliższe poznanie. Zwłaszcza poemat Bonczyka stanowi lekturę, która nie poskąpi miłych wzruszeń czytelnikowi, który potrafi do utworu podejść bez uprzedzeń i z właściwym nastawieniem, bez wymagań stawianych wielkiej poezji.

Jako trzeci tom Biblioteki pisarzy śląskich ukaże się Jerzego Bocka „Nauka domowa“.

Zarys dziejów literatury śląskiej jest jednym z najpilniejszych postulatów naszego życia literackiego. Brak takiego wydawnictwa daje się już dawno dotkliwie odczuwać. Znajdujemy je w projekcie w innym cyklu wydawnictw Instytutu Śląskiego „Śląsk, ziemia i ludzie“. Zarys ten opracuje Wincenty Ogrodziński. Książka ta ma się ukazać w początkach przyszłego roku. Na około 100 stronach ma ona zgromadzić pełną galerię portretów literackich pisarzy śląsko-polskich.

Konkurs dramatyczny Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury w Katowicach na obrazek sceniczny został jeszcze pod koniec czerwca rozstrzygnięty. Ogólny poziom nadesłanych utworów był bardzo niski. Toteż przyznano tylko 2 trzecie nagrody i jeden utwór wyróżniono. Nagrody otrzymali: Włodzimierz Żelechowski za obrazek-słuchowisko p. t. „Agitatorka“ i Maria Chmielewska za „Ostatnią szychtę“. Obydwa utwory wyróżniły się spośród nadesłanych na konkurs 19 sztuk, dobrą formą literacką, walorami scenicznymi, poruszeniem interesujących problemów i dobrym ich opracowaniem. Ale obok tych

dwóch obrazków scenicznych, które wyszły spod pióra ludzi wykształconych i obdarzonych kulturą literacką, konkurs wyróżnił utwór, który szczególne budzi zainteresowanie. Jest to „melodramat w 1 akcie“ p. t. „Los górnika“, napisany przez Juliannę Kleczkową, zamieszkałą w Makoszowach. Styl i ortografia tego „melodramatu“ zbliżają go do książek Jakóba Wojciechowskiego. Nie pozostawiają też żadnej wątpliwości co do wykształcenia autorki. Ale jest tu w porównaniu z poprzednimi utworami więcej życia i prawdy, jest więcej plastyki i barwności. Doskonała charakterystyka postaci, duże zalety sceniczne, dowcipne dialogi i sytuacje czynią tę skromną pracę dowodem samorodnego i nie pogłębionego, ale dobrego talentu, sprawiają, że „Los górnika“ jako obrazek sceniczny dla scen robotniczych na uroczystości św. Barbary jest w swoim rodzaju doskonały i powinien mieć po pewnych drobnych przeróbkach zapewnione powodzenie. Dla informacji warto podać, że autorka jest prostą wieśniaczką, czynną działaczką Tow. Polek, matką kilkorga dzieci i napisała dotychczas kilka podobnych obrazków, które na lokalnych uroczystościach spotkały się z dużym uznaniem i życzliwym przyjęciem.

Drugi ogłoszony przez Robotniczy Instytut konkurs na większy utwór sceniczny dla scen robotniczych zostanie rozstrzygnięty zgodnie z zapowiedzią 15 bm. Obesłany jest przeszło 30-ma sztukami i zapowiada się interesująco.

Zagłębie Dąbrowskie nie ma głosu. Przed kilku miesiącami obchodzono bardzo uroczyście i przy akompaniamencie bardzo wiele obiecujących frazesów, otwarcie podstudia radiostacji katowickiej w Sosnowcu. Co tydzień od tego czasu słyszymy audycję, noszącą tytuł „Zagłębie Dąbrowskie ma głos“. Tymczasem Zagłębie wcale głosu nie ma. Ma go tylko p. Konstanty Ćwierk. Audycje te nie są żadną miarą odbiciem życia Zagłębia, które chyba ma jakichś ludzi, którzyby z pożytkiem p. Ćwierka potrafili przynajmniej od czasu do czasu zastąpić. Chyba są tam jacyś publicyści, pisarze, poeci, chyba dzieje się coś więcej, niż to, czego wyrazem są dotychczasowe audycje. Jeśli audycje te zostaną utrzymane na dotychczasowym poziomie, skłonni będziemy przypuszczać, że jest jednak inaczej i z Zagłębia nic już lepszego usłyszeć nie można. A w takim razie po co było to podstudio? Podróże p. Ćwierka co tydzień do Katowic i z powrotem, do końca jego kariery napewno mniejby kosztowały.

Wracając do Fierli...

Tym, co uważają, iż niedawne nasze notatki o Fierli były złośliwe i bezpodstawne, przypominamy dwie oficjalne krytyki, łączące się z jego nazwiskiem. Pierwsza pochodzi spod pióra K. W. Zawodzińskiego, który omawiając dorobek poetycki ostatnich miesięcy, taki oto poświęca ustęp A. Fierli (Bróg, ale co snop to inszego zboża, Wiadomości Literackie, 1936, 23):

Nie mniejszą porcję fałszu artystycznego (niż któryś z poprzednio omówionych poetów) przynoszą „Kolendy beskidzkie“, fałszu w innym gatunku, kolendziołkowo-balladowego, „pónbóczkowego“. Gdyż Adolf Fierla, specjalista od regjonalizmów, tym razem „beskidzi“, że użyję wyrażenia Zegadłowicza, i całą sporą książeczkę wierszy napisał gwarą, z konsekwencją o wiele przewyższającą dawne wyczyny swego mistrza. Już jego książka sprzed dwóch lat „Kopalnia słoneczna“, w której „rozmodlił się“ Śląsk kopalniany „przecudami“ „rozpachniony“, „w kabatach przeczarnych“ była klasycznym przykładem fałszywej poetyczności i najgorszej maniery zegadłowiczowskiej à l'ontrance. Teraz omawiana książka jest okazem jeszcze bardziej niewolniczego naśladownictwa od tytułu aż do ostatnich słów „...niepojęte — na radość naszą nóm grejcie wieczystą...“. Ckliwa i podejrzana religijność zabarwiająca wszystkie „ballady o Panu Jezusie, miłującym Beskid“, już w edycji oryginalnej obrzydziła ten region najbardziej zbożnemu regionaliście, a cóż dopiero w zużytym stereotypie, kiedy już folklor Beskidu w innym nieco oświetleniu ukazał nam sam mistrz w „Zmorach“.

Drugie wypowiedzenie się na temat Fierli, to głos Władysława Sebyły, zamieszczony w oficjalnym organie literatury (Rocznik Literacki, za rok 1935, pod redakcją Zofji Szmydtowej, Warszawa 1936, Instytut Literacki, str. 41):

Niebardzo rozumiem potrzebę poezji, jaką produkuje Adolf Fierla. Kolendy beskidzkie, to zwykłe banalne wierszyki, sentymentalnego inteligenta, tyle że pisane gwarą góralską. Nie jest to twórczość ludowa. Nic w niej zresztą nie ma samodzielnego; małość, albo naśladowanie Zegadłowicza, bez jego stylizacji. Jako poezja ma bardzo niewielką wartość.

W związku z wprowadzeniem nowej pisowni zwracamy uwagę autorów na konieczność nadsyłania artykułów pisanych według zasad tej pisowni.

NADESŁANE KSIĄŻKI.

L. Musioł, Archiwa i archiwalia w Województwie Śląskim.

Dr. Aleksander Szczepański, Rola wsi w przezwyciężeniu kryzysu gospodarczego w Polsce.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P. Inż. Adamowi Sikorze w Pstrążnie. Redakcja z prawdziwą satysfakcją konstatuje, że artykuły na temat położenia gospodarstw chłopskich w Polsce, zamieszczone w ostatnich numerach „Kuźnicy“, wywołały tak wielką reakcję ze strony Pana. Przykłady, jakie podaje Pan w liście do nas, zaczerpnięte z własnej praktyki czy obserwacji stosunków na wsi, a dotyczące obecnej ciężkiej sytuacji chłopa, w bardzo wymowny sposób potwierdzają opinię, jakiej w tych sprawach nieraz dawano wyraz na łamach naszego

pisma. Podzielamy w zupełności opinię Pana w sprawie zaniedbania naszej wsi pod względem kultury gospodarczej.

P. Ryszardowi Cz. z Knurowa. Artykuł Pana p. t. „Co należy uczynić" otrzymaliśmy. Artykuł Pana zawiera ciekawe myśli, z którymi się zgadzamy, ale jako całość nie nadaje się jeszcze do druku w „Kuźnicy". Radzimy Panu intensywnie i wytrwale pracować nad sobą i nie rozpraszać się, bo łatwo się bardzo zmanierować. Chętnie będziemy z Panem utrzymywać kontakt.

P. Tyt. Siestrz. Katowice. Nowele nie nadają się do druku. Nie skorzystamy.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Plebiscytowa 1. Telefon Nr. 307-51. Konto P. K. O. Nr. 304-581.

Wydawca i Redaktor: Paweł Musioł. Redaktor odpow.: Zdzisław Hierowski.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: $^1/_1$ strona 200,— zł, $^1/_2$ strony 100,— zł, $^1/_4$ strony 50,— zł, $^1/_8$ strony 30,— zł, $^1/_{16}$ strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria" Siemianowice Śl.